

Nosheen Ali, *Delusional States. Feeling Rule and Development in Pakistan's Northern Frontier*, Cambridge 2019, Cambridge University Press, ss. 404

Tytuł omawianej książki można interpretować trojako. *Delusional States* może oznaczać, że omawiane tu *states* – w tym kontekście raczej regiony/prowincje niż państwa – są urojone, że same na urojone cierpią lub że stanowią przedmiot urojeń cudzych. Wszystkie trzy interpretacje znakomicie pasują do treści.

Nazwa „Gilgit” mogła się jeszcze w tych czy innych okolicznościach obić o uszy osobie niezainteresowanej Pakistanem – np. komuś, kto śledzi wyprawy himalaistów, przegląda artykuły o „wojnie z terrorem”, względnie po prostu czyta „National Geographic”. Kto jednak wie coś więcej? Niewiedzy poniekąd można się nie wstydzić. Jak zauważa Nosheen Ali, badaczka z Karaczi (największe miasto Pakistanu i do 1959 r. stolica), Pakistańczycy sami wiedzą o tym przygranicznym regionie bardzo mało.

Nie pomaga fakt, że to, co zwiemy dziś Gilgit-Baltistanem, do 2009 r. nosiło nazwę „Terytoria Północne”. Przeciętny Pakistańczyk miał wszelkie szanse pomylić je z całkiem inną częścią kraju, Północno-Zachodnią Prowincją Pograniczną (obecnie Chajber-Paszunchwa) albo z Obszarami Plemiennymi (FATA), leżącymi jeszcze gdzie indziej. Nazewnictwo, któremu Nosheen Ali poświęca w swej pracy znaczną uwagę, to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. I to w podwójnym sensie. Przykład Gilgitu uosabia zarówno ignorancję Pakistańczyków na temat własnego kraju, jak i niewiedzę Zachodu o regionie – obie unurzane w sosie stereotypowych uprzedzeń. Pakistańska badaczka wyklada te sprawy na tyle przystępnie, że nad jej książką warto się zatrzymać. Pod wieloma względami daje przykład, jak się zabierać do zrozumienia Innego na drodze historycznej i etnograficznej analizy.

Pod paroma względami daje też przykład, jakie błędy można przy tym popełnić. „Krytyczno-progresywna feministyczna perspektywa” (tak sama autorka o niej pisze) bywa bardzo przydatna, ale nie jest lekiem na każdy problem badawczy. Zwłaszcza gdy jednostronność dominujących analiz kusi, by przesadzić w przeciwną stronę.

Specyficzny status Gilgit-Baltistanu w państwie pakistańskim to po części pokłosie podziału subkontynentu w 1947 r. i wydarzeń wcześniejszych. Za czasów kolonialnych część regionu była lennem maharadży Dżammu i Kaszmiru, część dzierżawili od tegoż władcy Brytyjczycy, część zajmowały księstwa, które w dziejach składały hołd różnym suwerenom, w tym Chinom. Gdy po dekolonizacji maharadża postanowił przyłączyć swój kraj do Indii, dodał, że tyczy się to również jego ziem wasalnych. Żyli tam jednak w miazdzącej większości muzułmanie, którzy nie czuli się związani decyzją monarchy hinduisty: miejscowa milicja, *Gilgit Scouts*, przepędziła jego urzędników i w końcu podjęto decyzję o akcesji do Pakistanu¹. Z tych przepychanek został „Terytorium Północnym” status ziemi spornej, którą Indie wciąż uważają za „okupowaną”, podobnie jak pakistańską część Kaszmiru.

W efekcie Pakistan nie może się nadal zdecydować, czy region jest jego częścią, czy nie. A właściwie może: stan zawieszenia państwu odpowiada, bo dzięki temu władze rządzą Gilgitem *de facto*, nie musząc np. przyznawać miejscowym pełni praw wyborczych. Zresztą nawet podstawowe prawa obywatelskie otrzymali w praktyce dopiero w 1999 r. i trzeba było w tym celu wyroku Sądu Najwyższego.

¹ Na ten temat zob. W. Brown, *Gilgit Rebellion. The Major who Mutinied over Partition of India*, Barnsley 2014; V. Schofield, *Kashmir in Conflict. India, Pakistan and the Unending War*, London 2003, s. 62–64, 180–181.

Stąd rozdział pierwszy pracy poświęcono specyficznej, podwójnej moralności władz, uwidocznionej w podręcznikach. Gilgit-Baltistanu nawet nie wymienia się w nich jako części państwa (albo czyni się to półgębkiem). Natomiast Pakistan wszem i wobec chlubi się tym, co rejon ma do zaoferowania: himalajskimi lodowcami i szczytami oraz ukończoną w 1978 r. drogą do Chin, Karakorum Highway, ważną tak dla handlu, jak turystyki z uwagi na przepiękne widoki.

Problem polega na tym, stwierdza Nosheen Ali, że w efekcie o Gilgicie myśli się kategoriami jeszcze z XIX w., a właściwie sięgającymi Jana Jakuba Rousseau. Mianowicie że jest „malowniczy”; miejscowi są tu o tyle ważni, o ile ładnie wkomponują się w pejzaż, który przybysze z zewnątrz chcą podziwiać. Dotyczy to mieszkańców Zachodu, ale i samych Pakistańczyków: każde dziecko słyszało w szkole o Karakorum Highway, za to na hasło „Gilgit” czy „Baltistan” (nie mówiąc o „Terytoriach Północnych”) pytają, gdzie to jest. Nie pomagają mapy, na których region oznaczany bywa błędnie albo wcale. Po trzęsieniu ziemi z 2005 r., które ominęło te tereny, choć spustoszyło większość sąsiednich, gorzko żartowano: niebiosa przeznaczyły klęskę także Gilgitowi, ale wysłaniec Boży nie był go w stanie znaleźć.

Mają z tym problemy też politycy, ale nigdy (rozdział drugi) wojskowi i agencje wywiadowcze, które rządzą regionem jak własnym folwarkiem. Szczególnie te ostatnie – z osławionym wywiadem ISI na czele – mają tu złą opinię, co nie znaczy, że brak chętnych do donoszenia (głównie z biedy). Szpiegomania odbiła się nawet na samej badaczce, którą jedni podejrzewali, że jest agentką Indii, drudzy – że rządu Pakistanu (w Gilgicie trudno rzec, co się kojarzy gorzej). W celnym ujęciu pewnego nauczyciela „to nie tak, że agencje istnieją, bo nie można na nas polegać – uznaje się, że nie można na nas polegać, żeby agencje mogły istnieć” (s. 97).

Inaczej kojarzy się wojsko, które z jednej strony włada Gilgitem jak własnym folwarkiem, z drugiej – daje wielu mieszkańcom prestiżowe zatrudnienie. Może najbardziej szokującym epizodem opisanym przez Nosheen Ali jest tutejsze echo walk w Kargilu.

Przypomnijmy: w 1999 r. pakistańska armia postanowiła wydrzeć Indiom część spornego terytorium w Kaszmirze. Planując operację w tajemnicy tak przed światem, jak i własnym rządem, popełniła ostatecznie błąd w stylu Zatoki Świń – chcąc przekonać opinię publiczną, że bojownicy działają na własną rękę, dano im zbyt małe wsparcie. „Ochotnicy” zostali w efekcie wybici przez armię indyjską: poległo ich 800–1000, z czego 561 z samego Gilgitu. Pakistan, trzymając się wersji o spontanicznym zrywie kaszmirskich autochtonów, odmówił... przyjęcia zwłok; kiedy mieszkańcy Gilgitu wyszli w proteście na ulice, władza użyła siły i posłała demonstrantów do więzień. Ciała wróciły w końcu do rodzin, gdy Indie – chcąc zawstydzić sąsiada – zadeklarowały, że same pogrzebią je na islamską modłę.

Gilgitezycy ginący za Pakistan (także w licznych walkach wewnętrznych, np. w Beludżystanie) wzbudzają jednak wśród krewnych i sąsiadów dwojakie reakcje, nawet po kargilskiej masakrze. Z jednej strony pojawiają się pytania, po co młodzi chłopcy mają iść do nikomu niepotrzebnej walki, z drugiej wybuchy dumy: oto my, nieustraszeni, podpora kraju.

W następnych dwóch rozdziałach mowa o stosunkach szyitów i sunnitów w regionie. Ci pierwsi stanowią ok. 75% jego mieszkańców (w Baltistanie nawet 95%, z tym że spora część przypada na odłam szyizmu – ismailizm – którego ortodoksja była kwestionowana). Natomiast przyjezdni administratorzy i wojskowi to niemal wyłącznie sunnici, którzy od pewnego momentu zaczęli przywozić ze sobą radykalnych

kaznodziejów. To bodajże klucz do osławionego pogromu szyitów z 1988 r., który sprawił, że mieszkańcy – dotąd często nawet niewiedzący, który odłam islamu wyznaje sąsiad – zaczęli się skupiać w „sunnickich” i „szyickich” osiedlach. Kolejna runda sporów nastąpiła w początkach XXI w., gdy szyici zaprotestowali przeciw narzucanym im podręcznikom przedstawiającym rytuały islamu tylko na sunnicką modłę. Słynny kaznodzieja szyicki, lider protestów, został w efekcie zamordowany, choć ostatecznie sporne książki wycofano.

Nawet próby pojednania potrafią osuwać się co najmniej w dwuznaczność. W książce opisano np. przypadek, gdy miejscowy uniwersytet odznaczył za zasługi trzech ludzi – pierwszego dziekana, pierwszego wicekanclerza (odpowiednik polskiego rektora) i słynnego gilckiego himalaistę. Zaprotestowała rada ds. dialogu wyznaniowego, gdyż... nikt z tej trójki nie był szyitą. Nosheen Ali stawia celne pytania: czy dbając o równość, w ten sposób aby nie pogłębiały podziałów, zamiast je zasypywać? Czy nie sprawiamy, że ludzi postrzega się tylko przez pryzmat ich wyznania? To dobre pytanie i nie dotyczy tylko odłamów islamu ani różnic religijnych w ogóle. Jest też jednak promyk nadziei: autorka opisuje szereg inicjatyw łamiących wyznaniowe podziały i promujących dialog – od meczów polo po agony poetyckie (bardzo tu ważna forma komunikacji społecznej). Szkoda tylko, że nadal nie wpuszcza się tam kobiet; samą badaczkę potraktowano inaczej, bo była spoza regionu. Tak czy inaczej, tę część pracy wypada ocenić nader pozytywnie, a metodologię wykorzystania źródeł pisanych i świadectw z zakresu *oral history* – za znakomitą.

Gorzej z dwoma kontrowersyjnymi rozdziałami końcowymi, dotyczącymi problemów o zasięgu międzynarodowym. Piąty opisuje *casus* powstałego w 1975 r. Parku Narodowego Khunjerab, mającego chronić ginącą faunę miejscowych gór. W szczególności chodzi o trzy gatunki: irbisa (panterę śnieżną), dziką owcę pamiorską i markura śruborogiego (kozę śruborogą). Liczebność żadnego z nich nie przekracza 10 tys. osobników na całym świecie, w przypadku irbisa jest to nawet sporo mniej. Zakaz wypasu zwierząt i polowań na chronionych terenach wydaje się więc rozsądnym krokiem.

Rzecz w tym, że stworzenie parku wymagało likwidacji miejscowych wiosek, od pokoleń parających się pasterstwem, albo znalezienia mieszkańcom innego zajęcia. Jedna z nich, Shimshal – na której terenie leżą 2/3 parku – stawiała opór, zmuszając w końcu rząd, by rozwodnił swe plany. Wypas zwierząt – zwłaszcza kóz, owiec i jaków – trwa w najlepsze, redukowany co najwyżej niechęcią młodych do tego zajęcia. Tymczasem inne wsie wytargowały mniej i musiały pozbyć się części stad.

Problem z narracją pakistańskiej badaczki polega na tym, że jest zasadniczo jednostronna. Na mieszkańców Shimshalu uwzięły się w tej opowieści potężne siły – akademicy i organizacje w typie WWF zbrojne w „legitymizującą władzę nauki”, międzynarodowe instytucje finansowe oraz ogólnie ludzie Zachodu, którym marzą się habitaty oczyszczone z tubylców po to, by lepiej się je oglądało. Oraz tępi pakiścińscy oficjele i wojsko – na garnuszku i pasku powyższych potęg. Ogromne wojska, bitne generały neoliberalizmu jednoczą się przeciw niespełna dwutysięcznej wiosce. Neokolonialne wykluczenie w pełnej krasie.

Tymczasem, czytamy, cały problem polega na tym, że wymienieni nie chcą zrozumieć. Konkretnie nie chcą zrozumieć dwóch rzeczy: że oprócz środowiska trzeba brać pod uwagę też interes miejscowych i że owi miejscowi umieją sami chronić je najlepiej, a eksperci z zewnątrz zdadzą się co najwyżej na doradców. Zrozumienie przyrody zapewniać ma bowiem powszechna tu koncepcja *qudrat* – z grubsza odpowiednik „natury”, ale o silnych konotacjach duchowych i religijnych.

Nosheen Ali podpisuje się obiema rękami pod słowami, które usłyszała od jednego z mieszkańców Shimshalu: „*Quadrat* to błogosławieństwo Boże; stąd człowiek winien jest naturze szacunek i wdzięczność. Obchodzimy wiele świąt w podziękę Bogu i naturze. Ale człowiek musi też ciężko pracować, by czerpać z Bożych darów. By brać z natury, trzeba jej też dawać – z szacunkiem i wdzięcznością. W *quadrat* niepotrzebna jest ochrona środowiska – mechanizm ochrony jest w to wszystko wbudowany. Ochrona środowiska przychodzi, gdy powstaje groźba, że coś zniknie albo się wyczerpie. Rzeczy wyczerpują się, gdy jedynie bierzesz i używasz, a nie dajesz nic od siebie” (s. 207).

Jeśli dla kogoś brzmi to rozsądnie, jeszcze dwa cytaty ze shimshalskich pasterzy: „Markur żyje dzięki nam!” oraz „Moi przodkowie sadzili w Shimshalu drzewa. Jak ktoś może teraz przychodzić i mówić, że te drzewa nie należą do mnie?”. Nawet fakt, że pakistańscy oficjele rzucając na odcinek środowiskowy rażą jeszcze większą niekompetencją i w dodatku nadskakują zagranicznym myśliwym, nie przemawia na korzyść tej logiki.

Nie tylko na poziomie słów: gdy przyrzeć się detalom, opisana wizja zgrzyta nawet mocniej. Dowodem, że shimshalczycy zostawieni w spokoju świetnie daliby sobie radę z ochroną przyrody, ma być fakt, że gdzieś w początkach XXI w. przestali polować na irbisy – żywiące się m.in. ich owcami. Z zamieszczonych cytatów wynika coś wręcz przeciwnego: pasterze zrezygnowali z łowów na pantery, bo bali się, że w przeciwnym razie rząd wykorzysta to przeciw nim. Dalej czytamy, jak bardzo nowoczesna edukacja deprecjonuje znaczenie pasterskiego stylu życia. Tymczasem sąsiednie wywody pokazują jasno, że to młode pokolenie z dyplomami pojęło, jak szukać kompromisu między tradycją a ochroną środowiska i dlatego w końcu udało się zawrzeć znośne porozumienie.

Oczywiście, w niektórych kwestiach pretensje mieszkańców mogą być słuszne. Na to też mamy przykłady w książce – wbrew rządowej narracji jaki niekoniecznie konkurują o pastwiska z chronionymi gatunkami, bo preferują inne rośliny. Nie chodzi więc o to, by przyjmować wizję świata, w której człowiek – w tym tubylec – to automatycznie zagrożenie dla przyrody.

Chodzi o to, by nie popaść w przeciwną skrajność, paradoksalnie też sięgającą czasów Rousseau. „Szlachetny dzikus” francuskiego filozofa zmienia się tu w „odpowiedzialnego ekologicznie mieszkańca Trzeciego Świata”, który żyje w „zgodzie z naturą”, póki kapitalizm nie pochwyci go w swe szpony.

Nosheen Ali nie traktuje tych zapewnień jako dyskursywnej strategii (jak jej kolega po fachu Shafqat Hussain, o którym za chwilę), lecz je bez zastrzeżeń popiera. Z tego powodu udało jej się być może wzbudzić w rozmówcach szczerość. Ceną stał się jednak brak obiektywizmu. Zwłaszcza że badaczka nie wykorzystuje należycie zebranej bibliografii. Gilgit może i został zaniedbany przez rząd, ale nie jest badawczą pustynią. Sam Shimshal stał się w ostatnim trzydziestoleciu terenem szczegółowych badań trójki niezwiązanych ze sobą uczonych (czy dałoby się znaleźć wieś w Europie, o której można to powiedzieć?). Jeden z tych uczonych usłyszał wręcz od starszego człowieka z pobliskiego miasteczka: „Kiedyś tylko przestępcy szli do Shimshalu, a dzisiaj głównie antropolodzy”². To przesada, bo więcej od naukowców przybywa tam turystów.

² Sh. Hussain, *Remoteness and Modernity. Transformation and Continuity in Northern Pakistan*, New Haven 2015, s. 126. Inne ważne prace na temat Shimshalu zob. D. Butz, *Sustaining indigenous communities: Symbolic and instrumental dimensions of pastoral*

Ich napływ przekształcił Shimshal na skalę niebywałą, ale o tym w pracy Nosheen Ali nie ma nawet wzmianki. Cytowana przez nią ledwie raz książka Shafqata Hussaina jest pod tym względem znacznie lepsza. Pokazuje bowiem dobrze, jak bardzo autowizerunek shimshalczyków – ludzi, którzy czują naturę, posiadli Pradawną Mądrość i skutkiem tego mogą wiele zaoferować „cywilizowanym” ludziom – jest wytworem tego, jak ich chcieli widzieć przybysze. Szczególnie istotną rolę odegrali Japończycy, a zwłaszcza pewien reporter, który zafascynował się Shimshalem, przygotowując o nim program. Kolejny badacz z Pierwszego Świata – Kanadyjczyk David Butz – był współautorem manifestu organizacji reprezentującej mieszkańców wioski w sporze o park narodowy. Tymczasem Nosheen Ali powołuje się na teksty Butza, wywodząc, że zgrabne bon moty shimshalczyków dowodzą „lokalnej biegłości w ochronie środowiska”! Podobnie płytko (lub wcale) wykorzystano prace innych badaczy problemu.

Jeszcze bardziej dyskusyjny – choć też inspirujący intelektualnie – jest rozdział szósty, dotyczący dość istotnego problemu. Ujawnił się on przy okazji Nobla dla Malali Yousafzai, gdy Zachód odkrył ze zdumieniem, że najsłynniejsza przed Gretą Thunberg nastolatka XXI w. w ojczyźnie wzbudza sprzeczne uczucia. Nie tylko wśród religijnych ekstremistów.

Także bowiem wielu liberalów kręciło na tę nagrodę nosem. Ich zdaniem kult Malali – i ton wypowiedzi jej samej – maluje w zachodniej świadomości obraz pt. „Pakistan, dziki kraj fanatyków strzelających do dziewczynek, które muszą ratować wielcy świata tego”. Stąd – wedle malkontentów – tylko krok do neokolonializmu: czujemy się humanitarni i przez to lepsi, gotowi płacić, by dzielni edukatorzy ruszyli w pakistańskie góry, niosąc miejscowym kaganiec oświaty. Przy okazji przestaje nas obchodzić, kim ci miejscowi są³.

Można się z tymi zarzutami zgadzać lub nie. Gorzej, gdy z powodu humanitarnych odruchów zaczynamy wspierać nie tylko budowę szkół, ale też wysyłanie wojska. I to właśnie jest tematem ostatniego rozdziału książki, w którym Nosheen Ali rozprawia się z superbestsellerem Grega Mortensona (współautor: David O. Relin) *Trzy filiżanki herbaty*⁴. Mortenson w 1993 r. próbował zdobyć słynny szczyt K2, ale wyprawa skończyła się fiaskiem – nie wróciłby do domu żywy, gdyby nie pomoc mieszkańców jednej z wiosek Baltistanu. Wdzięczny wspinacz obiecał sfinansować im budowę szkoły i słowa dotrzymał – nie poprzestając na jednej: w 1996 r. utworzył organizację zakładającą szkoły w Pakistanie i Afganistanie, których powstało tym sposobem kilkadziesiąt. *Trzy filiżanki herbaty*, opisujące te wysiłki, stały się jedyną książką o Pakistanie znaną wielu Amerykanom. Przez szereg tygodni po wydaniu

resource use in Shimshal, northern Pakistan, „Canadian Geographer” 1996, t. XL, nr 1, s. 36–53; idem, *Sustainable tourism and everyday life in Shimshal, Pakistan*, „Tourism Recreation Research” 2000, t. XXVII, nr 3, s. 53–65; idem, *Narratives of accessibility and social change in Shimshal, northern Pakistan*, „Mountain Research and Development” 2011, t. XXXI, nr 1, s. 27–34; J. Mock, *The discursive construction of reality in the Wakhi community of northern Pakistan* [niepublikowana praca doktorska obroniona na University of California, Berkeley], 1998.

³ Bardzo ciekawie komentuje ten problem Shenila Khoja-Moolji w swej niedawnej książce *Forging the Ideal Educated Girl. The Production of Desirable Subjects in Muslim South Asia*, Oakland 2018.

⁴ G. Mortenson, *Three Cups of Tea: One Man’s Mission to Promote Peace... One School at a Time*, New York 2006.

otwierały listę bestsellerów „New York Timesa”; w 2009 r. ukazały się też dwie wersje uproszczone, jedna dla dzieci w wieku 4–8 lat, druga dla nieco starszych. Wśród czytelników dzieła byli gen. David Petraeus i adm. Mike Mullen, a obecnie jego lektury wymaga się od wszystkich wyższych rangą dowódców, jak również żołnierzy USA jadących na misję afgańską.

Co znajdujemy w *Trzech filiżankach herbaty*? Sympatyczne i ludzkie portrety mieszkańców Baltistanu (o którym traktuje większość dzieła). Ale też specyficzne opisy: „dziki kraj” pełen „walczących grup religijnych”, gdzie ludzie żyją „tak, jak przed wiekami”. Sam Mortenson, jak zapewnia wstęp do książki, „jadąc Karakorum Highway [...] rusza na wojnę ze źródłami terroru w każdym momencie, gdy oferuje uczniowi szansę na zdobycie wyważonego wykształcenia poza ekstremistyczną madrasą” (szkołą religijną).

Na pewno rusza? Cóż to znaczy, że Mortenson zakłada szkoły w regionie będącym „matecznikiem talibów”? Ruch talibów powstał w afgańskim Kandaharze i okolicznych prowincjach, geograficznie i kulturowo odległych od Baltistanu nie mniej niż Białoruś od Holandii. Nawet kresowa odmiana pakistańskich talibów – *Tehrik-e-Nifaz-e-Shariat-e-Muhammadi* – wyklęła się w Dirze, też nieleżącym po sąsiedztwie⁵. W dodatku w Baltistanie miażdżącą przewagę mają szyici – przez sunnickich talibów zawsze uważani za wrogów – a pierwsza ekstremistyczna madrasa powstała tu w 2001 r. (inaczej niż w bardziej mieszanym wyznaniowo Gilgicie). Madrasy nie muszą być jednak fundamentalistyczne ani konkurować ze świecką szkołą – rodzice często posyłają tam swoje dzieci z tych samych powodów, co polscy na katechezę. To Mortensonowi umyka. Z kolei przekonanie, że źródłem terroru jest bieda, trąci – jak zauważa Nosheen Ali – uprzedzeniami klasowymi. Zamachowcy z 11 września to jako żywo nie był wyklęty lud ziemi⁶.

W sumie po lekturze *Trzech filiżanek herbaty* można poczuć wobec mieszkańców Gilgit-Baltistanu empatię, ale i wyższość: oto biedni, zacofani ludzie z dzikiego kraju, ofiary radykałów idące za nimi jak owce na rzeź. Trzeba im pomóc. Tylko kim są adresaci tych wezwań? Czy aby nie zwolennikami – i uczestnikami – działań USA w regionie, których brutalność i niezborność często raczej dostarcza talibom narybku? Czy tak trudno dostrzec sprzeczność w fakcie, że w otwieraniu Mortensonowskich szkół nierzadko brali udział wysocy rangą wojskowi? Czy nadal jesteśmy tu w pełni po stronie Dobra?

Wytykając błędy i uproszczoną wizję świata popularnemu autorowi, Nosheen Ali ma absolutną rację⁷. Trzeba o tym mówić, zwłaszcza że w samym Pakistanie

⁵ Zob. H.K. Ullah, *Vying for Allah's Vote. Understanding Islamic Parties, Political Violence, and Extremism in Pakistan*, Washington 2014, s. 141–143.

⁶ Z olbrzymiej literatury na temat realnych zależności pomiędzy wiarą, statusem materialnym, wykształceniem a ekstremizmem w Pakistanie można polecić np.: H.K. Ullah, op. cit. oraz liczne artykuły C. Christine Fair i Jacoba N. Shapiro, np. *Understanding Support for Islamist Militancy in Pakistan*, „Quarterly Journal. International Security”, Winter 2009/2010, t. XXXIV, nr 3, s. 79–118.

⁷ Pomijam w tym momencie kwestię kłamstw i nadużyć zarzucanych – i częściowo udowodnionych – samemu Mortensonowi oraz krytykę działania założonych przezeń szkół. Zob. J. Krakauer, *Three Cups of Deceit. How Greg Mortenson, Humanitarian Hero, Lost His Way*, New York 2011; L. Noyes Mass, *Back to Pakistan. A Fifty-Year Journey*, Lanham 2011, s. 175–176.

Trzy filiżanki herbaty stały się podstawowym źródłem wiedzy o Gilgicie. A jednak coś w tych perorach zgrzyta. I to właśnie jeśli chodzi o historię, której „niewygodne” epizody badaczka przysięga odkłamać.

Nie mam tu na myśli drobnych błędów rzeczowych (wbrew sugestiom ze s. 120 *imambargah* to nie jest „szyicki meczet”, do meczetu ma się jak synagoga do świątyni) ani dyskusyjnych czasem interpretacji, jak w sprawie odbudowy Karakorum Highway po klęsce żywiołowej w 2010 r. Remont powierzono wówczas firmie powiązanej z wojskiem, nie zaś chińskiemu koncernowi, który drogę budował. Czy naprawdę należy to rozpatrywać wyłącznie, jak Nosheen Ali, w kontekście zachłanności armii? A może także stosunków Islamabad-Pekin?

Skupiona na „dyskursie” etnografka nie zauważa też, że narzekając na brak dostępu biednych do szkół w kontekście pakistańskim, Mortenson przypadkiem ma więcej racji, niż mu się tu przyznaje. Wedle badań z 1998 r. w jednym tylko dystrykcie Pendżabu było 5000 „szkół-widm”, istniejących wyłącznie na papierze i fenomen bynajmniej od tego czasu nie zanikł⁸. Główny powód to nie tyle konkurencja madras, co obawy obszarników, że „przeuczeni” chłopci przestaną być potulnymi rękami do pracy. W Gilgicie z racji odmiennej struktury społecznej działa to inaczej. Ale problem jest realny.

W książce znajdziemy również chwyt, który zauważyłem już w szeregu prac tego typu: autorka zastrzega rytualnie, że kolonialne raporty nie zawierają faktów, tylko co najwyżej „fakty”, po czym bez zastrzeżeń z nich korzysta (s. 117). To jednak nie w porównaniu z pewną zasadniczą nieuczciwością: za radykalizację Afganistanu i Pakistanu wini się tu wyłącznie „amerykański imperializm” (i, w drugiej kolejności, saudyjskie petrodolary).

Ruch talibów, stwierdza Nosheen Ali, to głównie pokłosie „przebiegającej pod egidą CIA i ISI produkcji mudżahedinów podczas zimnej wojny. Produkcja ta dokonywała się poprzez pewne typy madras w niektórych częściach Afganistanu i zachodniego Pakistanu; trenowano tam i zbrojono muzułmańskich uczniów z całego świata, posługując się nową, wściekle fundamentalistyczną odmianą islamu mającą służyć strategicznym interesom USA. W rzeczy samej otwarcie nawołujący do przemocy podręcznik używany w tych madrasach był dziełem Uniwersytetu Nebraska w Omaha; przełożono go następnie na dari i paszto za pieniądze z grantu USAID. Gdybyście chcieli wskazać «matecznik talibów», prędzej byłyby to USA niż Baltistan” (s. 237).

Zgoda, USA dołożyły tu swoją cegiełkę. Ale to nie one wyniosły do władzy gen. Zię ul-Haqa (dyktator Pakistanu w latach 1977–1988), twórcę polityki wypierania Sowietów z Afganistanu rękami radykałów. General zresztą kontynuował, tylko na większą skalę, działania swego poprzednika, Zulfikara Alego Bhutto (1971–1977), nie lubiącego USA „islamskiego socjalisty”. To Bhutto właśnie pierwszy kazał szkolić w Pakistanie mudżahedinów, pragnąc ich użyć do zasiania zamętu u sąsiada, bo był w sporze z afgańskim premierem Muhammadem Daudem. Wśród szkolonych znaleźli się m.in. osławiony watażka Gulbuddin Hekmatjar oraz Dżalaluddin Hakani, późniejszy sojusznik Osamy bin Ladena.

Poza tym, czy pośrednie uczestnictwo Pakistanu w konflikcie afgańskim to jedynie efekt ambicji Waszyngtonu? Czyżby perspektywa, że umocniwszy się za miedzą, ZSRR odwiedzi Pakistańczyków w ramach „historycznej wycieczki” (cytując

⁸ Zob. N. Martin, *Politics, Landlords and Islam in Pakistan*, Abingdon 2016, s. 147.

wyrywkowo Jacka Kaczmarskiego), była dla nich taka bezpieczna? Co mogłoby się stać w regionie, gdyby USA w ogóle nie wtrącały się w tę wojnę?

Tych pytań cytowana badaczka nie stawia, bo zakłóciłyby rysowane przez nią proste równanie: jej kraj cierpi wskutek islamskiego ekstremizmu, gdyż zasiali w nim wiatr imperialiści, a zasiali, bo mają w głowach wojskowe, konfliktogenne wzorce męskości. Proste, prawda?

Zresztą, imperialistom wbija się w tej książce szpile także przy innej okazji. Są mianowicie winni, że artykuł Nosheen Ali, zawierający powyższe tezy, nie spodobał się niektórym akademikom. Tu przyda się sążnisty cytat: „Często zwracano się do mnie, bym zmieniła ton, jakim piszę – utemperowała myśli, uczucia i koniec końców polityczne sądy. Analiza, której autora/-kę coś obchodzi, jest często oceniana jako słaba i nieakceptowalna. Transnarodowe spojrzenie mojej pracy, ujmujące USA i Pakistan w tej samej analitycznej ramie, sprawia głęboki dyskomfort białym recenzentom, których zdaniem moja analiza winna się ograniczać do «lokalności». [...] Zdaniem jednego z recenzentów moje wywody były «nieoszlifowane» [*crude*] i prowokujące do polemiki. Powinnam była używać bardziej «zniuansowanego» języka – tj. nie mówić wprost. A zatem polityczny gniew i niewygodna, historycznie motywowana krytyka czująca i demaskująca imperializm nie znajdują dla siebie wiele miejsca w «obiektywnej» wiedzy nauk społecznych, póki nie zostaną uspokojone i wykastrowane. [...] Krytyczno-progresywny tekst, wyrastający z niewygodnych faktów, argumentów i empatii może wzbudzić głęboki niepokój i strach imperialnych Innych – emocjonalne odpowiedzi chroniące status quo, do czego proces recenzyjny nie myśli się przyznać: maskuje je dając imperialnej perspektywie przywilej neutralności i sabotując perspektywy, które stawiają pytania. [...] Owo punitywne tarasowanie drogi feministycznej wiedzy płynącej od skolonizowanych niebiałych umacnia rasowe, płciowe i religijne uprzedzenia mające się i bez tego doskonale w strukturach świata i akademii. Co wiąże się z patriarchalnymi formami dyscyplinowania żądającymi od kobiet, by były miłe, grzeczne, podporządkowane i trzymające uczucia na wodzy, politycznie zaś odznaczały się konformizmem i unikaniem konfrontacji. [...] Owo wykluczenie i zdławienie to rdzeń akademickiego imperializmu” (s. 23–25).

Na to wykluczenie i zdławienie pomstuje badaczka, której Cambridge University Press wydało właśnie książkę, a przedtem trzy amerykańskie granty opłaciły badania w Gilgit-Baltistanie! „Skolonizowana niebiała” (z kraju niepodległego od 1947 r.) nie zna też nazwisk swoich recenzentów – bo pisma naukowe z zasady ich nie ujawniają – ale wie, że są biali. Może nawet są, o zgrozo, mężczyznami. No bo z jakiego innego powodu mieliby krytykować? Jeśli więc coś nie podoba im się w wywodach, tym lepiej – znaczy, że są niewygodne dla dzierżących władzę. Bo krytyczne, progresywne i feministyczne.

Oczywiście, recenzentom zdarza się brak obiektywizmu, zwłaszcza gdy nie są specjalistami od danego tematu. Skąd my jednak znamy przekonanie, że „niezależni eksperci” to tacy, którzy się z nami zgadzają? Obawiam się, że utwierdzenie młodych adeptów zawodu w takim podejściu to droga do problemów nawet poważniejszych niż brak wiedzy o Gilgicie, że nie wspomnę o groźbie stworzenia nowych uprzedzeń w miejsce starych. Na przykład „co złego, to przez białego”. Cambridge University Press wydając niedawno inną pracę o Pakistanie – *The Defiant Border* Elisabeth Leake – przepuściło pretensje autorki do brytyjskich urzędników kolonialnych, że ich raporty o Pasztunach są „bezwstydnie ugenderowane”. Bo rzadko wspominają o kobietach.

W recenzji tej książki⁹ pytałem i zastrzeżenie podtrzymuję: czyżby nieobecność owych kobiet w przestrzeni publicznej była winą brytyjskich kolonizatorów, a nie Pasztunów? Tego sposobu myślenia nie wolno bagatelizować jako li tylko ideowego serwitutu na rzecz dominującej mody. W przeciwnym razie wkrótce możemy uwierzyć, że to USA odpowiadają za zamach na Malalę Yousafzai.

Tomasz Flasiński

Warszawa

⁹ T. Flasiński, *Trzy nowe książki o Pakistanie*, „Dzieje Najnowsze” 2019, nr 3, s. 393–424.